№ 36.

Warszawa, dnia 5 Września 1863 r.



NOWOŚCI DOTYCZĄCYCH GOSPODARSTWA DOMOWEGO.

CENA. **w Warszawie** *kwartalnie* złp. 10 (rsr. 1 kop. 50); *półrocznie* złp. 20 (rsr. 3); *rocznie* złp. 40 (rsr. 6). **Na Prowincji** *rocznie* złp. 50 (rsr. 7 kop. 50); *półrocznie* złp. 25 (rsr. 3 kop. 75).— **W Cesarstwie i Królestwie,** z dopłatą kopert pocztowych, *rocznie* złp. 63 gr. 10 (rsr. 9 kop 50; *półrocznie* złp. 31 gr. 20 (rsr. 4 k. 75).

Prenumerowac można w Redakcji przy ulicy Żabiéj Nr. 956 *b*, w domu Krzemińskiego; w Kantorach pism perjodycznych; na stacjach pocztowych i we wszystkich księgarniach tak w kraju jak i za granicą.— —Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki, prosimy adresować — *Do J. K. Gregorowicza w Warszawie, ulica Żabia Nr. 956 b, dom dawniéj Krzemińskiego.*

POGAŃSKIE HORDY

I

MIECZ JANA SOBIESKIEGO.

Przestrach, jakim imię niegdyś Sobieskiego, napełniało krociowe zastępy Turków i Tatarów, co nakształt burzy albo chmary szarańczy, równały wszystko z ziemią w napaściach na nieszczęśliwą Ruś Podole i Ukrainę, najlepiéj świadczy, czém był ten ukoronowany wybraniec narodu i jak dzielny musiał być miecz, który dzierżąc śmiałą ręką, tępił na karkach pohańców. Z czynów wojennych tego bohatera jedna tylko wyprawa pod Wiedeń wsiąkła w pamięć całego narodu i stała się niejako tradycją historyczną, powtarzaną zarówno pod strzechą wieśniaka, jak w dworku szlacheckim lub pałacu możnego pana. Inne jego wojenne sprawy owe niemal nadludzkie walki szczupłych sił Rzeczypospolitéj z przemożnym wrogiem chrześcijaństwa, uwięzły w książkach robiąc się przystępnemi tylko dla ludzi piśmiennych i czytających. A jednak Sobieski, był to rzeczywiście mściciel jak go nazwał Szajnocha wszystkich krzywd, jakich się ta tłuszcza pogańska w napaściach odwiecznych dopuściła na narodzie polskim; on to skruszył jéj miecz i starł pychą wzniesioną głowę, dążącą do owładnięcia całéj ucywilizowanéj Europy.

Wyprawa wiedeńska dała światu bezpieczeństwo od zalewu barbarzyństwa, a nam wieniec sławy tak często dziś poniewieranéj i lekceważonéj.

Kiedy mnóstwo klęsk zlewało się ze wszystkich stron na nieszczęśliwe nasze ziemie, przy końcu panowania Zygmunta III, letnią porą w r. 1629, na zamku Oleskim położonym na Rusi u stóp gór karpackich, witano nowo narodzoną dziecinę Jana Sobieskiego, przyszłego pogromcę zastępów księżyca.

Narodzinom tym w pośród niesłychanéj burzy towarzyszył huk piorunów, wstrząsających cały zamek w posadzie, wznoszący się na usypanym ręką ludzką wzgórzu. Niezwyczajna ta burza była tak srogą, gromy niebieskie z takiém szaleństwem padały na wszystkie strony, że wedle ów-

czesnych opisów, niektórzy z dworzan na całe życie pogłuchli, zachowując żywe świadectwo wściekłości poruszonych żywiołów. Była to więc niejako zapowiedź przyszłego życia Jana, które rozwijając się pod troskliwą opieką rodziców, przeszło potém na plac boju, śląc na karki pogan gromy strzałów armatnich i dzielne cięcia ostrych mieczy.

W opisie historji domu Sobieskich, który znaleziono w papierach Jana dopełnionym własną jego ręką, pomijając szczegóły dotyczące przodków, tak się wyraża Sobieski.

Najwięcéj dumny jestem, iż ród prowadzę od tych bohaterów, którzy krwią swą broczyli ziemię niewiernych, i przekazali mi w dziedzictwie długoletnią zemstę na barbarzyńcach. Ojciec Jana Jakób Sobieski, zaprawiał się naprzód do boju pod wielkim Żołkiewskim. Raniony w ramię podczas oblężenia Moskwy, brał jednak udział we wszystkich ówczesnych wyprawach, a w wojnie Chocimskiéj potrafił zawrzéć pokój z cesarzem Osmanem. Odtąd jako zręcznemu w sprawach dyplomatycznych, powierzano mu wszelkie umowy i porozumienia się Rzeczypospolitéj ze Szwedami, Kozakami, Tatarami, Moskwą i Turkami. Naród oceniając te zasługi, po cztery razy obierał go marszałkiem sejmu i przechodząc różne stopnie, został wreszcie wyniesiony na pierwszą godność senatora świeckiego w Polsce, to jest kasztelana krakowskiego.

Takim był ojciec Jana Sobieskiego Jakób, który na nieszczęście właśnie wtenczas umarł, kiedy król Władysław IV miał go wezwać do nowéj posługi jako pełnomocnika na kongresie w Münster, kładącym koniec trzydziestoletniéj wojnie.

Matka Teofila była wnuczką w prostéj linji Stanisława Żółkiewskiego, co żywot w obronie Rzeczypospolitéj zakończył w krwawym boju na polach pod Cecorą. Wielki ten mąż miał syna Jana i córkę Zofją. Syn Jan jedyny spadkobierca sławy ojcowskiéj, pod Cecorą, upadłszy przy boku ojca, dostał się w niewolę do Konstantynopola, z któréj późniéj wykupiony ceną summ ogromnych, powrócił na to jedynie żeby z ran odniesionych umrzéć na ojczystéj ziemi. Siostra więc jego Zofja poślubiona Daniłowiczowi, została dziedziczką całego znakomitego mienia i chwały wojennéj Żółkiewskiego.

Miała ona także dwoje dzieci, syna i córkę. Syn młodzieńcem poległ w walce z Tatarami, a bolejąca matka, z rozkrwawionėm sercem, zlała błogosławieństwo na jedyną swą córkę Teofilę, która przez śmierć brata, stała się spadkobierczynią fortuny Żółkiewskich, a późniéj żoną Jakóba Sobieskiego ojca naszego Jana.

Z takiego to stadła, które w przodkach swych po mieczu, mieściło mężnych wojowników i mądrych doradców narodu, po kądzieli zaś matki synów kładących głowy w obronie ojczyzny, narodził się Jan przysposabiany na przyszłego bohatera mądrém słowem ojca, i mężném sercem matki.

Pisząc o tém sam Sobieski, powiada daléj:

Miałem brata starszego Marka, dwie siostry i dwóch młodszych braci, którzy w młodych latach pomarli. Marek zaś doszedł męzkiego wieku, aby zostać zamordowanym przez Tatarów. Wszyscy więc moi znaleźli śmierć pod ciosami niewiernych w obronie świętéj naszéj wiary. Ja jeden z woli Bożéj do innych przeznaczeń zachowany zostałem.

Kiedy po śmierci Władysława IV roku 1648, kozactwo w połączeniu z Tatarami wyruszyło na ziemie polskie, i zgromndzona szlachta na odparcie napaści, zgnuśniała długim pokojem i wewnętrzną pomyślnością kraju, haniebnie pod Pilawcami poszła w rozsypkę, Jan Sobieski znajdował się z bratem Markiem za granicą, dla ukończenia domowéj edukacji i przejrzenia świata. Niepomyślne wiadomości nadeszłe z kraju, a grożące nawet niebezpieczeństwem owdowiałéj już wówczas matce Teofili, przyspieszyły powrót młodzieńców w rodzinne progi. Matka po klęsce pod Pilawcami, zmuszona opuścić zamek Oleski, znajdowała się wówczas w oblężonym przez chmarę kozaków i Tatarów Zamościu, do którego jednak potrafili się dostać młodzi Sobiescy, korzystając z niesforności łupiezkiéj tłuszczy. Kiedy synowie po długiéj rozłące witając matkę, z płaczem padli jéj do nóg, Teofila głowy synów przyłożyła do piersi, przeżegnała i rzekła z mocą tłumiąc w sobie rozrzewnienie.

— „Dziatki moje, w ręku Boga spoczywają sprawy świata, a człowiek nieświadomy kiedy mu śmierć przeznaczona. Dziś otwiera się przed wami droga, jaką postępowali sławni wasi przodkowie, służąc Rzeczypospolitéj zdrowiem życiem i mieniem. Nie wątpię, że pójdziecie ich śladem, że godnemi staniecie się krwi, która płynie w waszych żyłach. Idźcie i walczcie z odwiecznym wrogiem, a pamiętajcie, że nie uznam was za synów swoich, jeżeli będziecie podobnemi do tych, co się znajdowali pod Pilawcami.”

Takiemi słowy matka powitała synów, nie ustępując ani męztwem, ani odwagą, owym przesławnym niewiastom rzymskim, których czyny i nazwiska przechowała historja. Ona, wnuka, córka i siostra bohaterów, czuła że życie ludzkie jest tylko malutką chwilą wieczności, że przeżyć je

bez pracy i poświęcenia dla kraju, jest hańbą na którą poruszyłyby się w grobie prochy Żółkiewskich i Sobieskich, i że w niebezpieczeństwie ojczyzny, nawet matkom godzi się synów zbroić w miecz z zachętą do męztwa.

Ale do walki już nie przyszło, choć Sobiescy byli do niéj zupełnie przygotowani. Tatarzy bowiem nie przyzwyczajeni do oblężenia, obłowieni dobrze rabunkiem kraju, uprzykrzyli sobie dalszą nieczynność i odstąpili sami dobrowolnie z pod murów Zamościa. Za niemi wkrótce poszło i kozactwo, Sobieski więc pożegnał matkę i udał się na sejm elękcyjny, jaki nastąpił po zaszłéj w owym czasie śmierci Władysława IV. Młodzi Sobiescy należeli więc poraz pierwszy do poważnych narad nad losami Rzeczypospolitéj, a gdy zaraz po wstąpieniu na tron Jana Kazimierza, trzeba było na gwałt wyruszyć przeciw tatarskim gromadom razem z kozactwem i Rusią niszczącym ziemie Rzeczypospolitéj, Sobiescy bez wahania, przyłączyli się do orszaku królewskiego, i poszli w pole bronić własną piersią rodzinnéj ziemi.

Siły Chmielnickiego w połączeniu z tatarami i Rusią, wynosiły 200,000 zbrojnego tłumu, siły zaś polskie mimo nakazanego pospolitego ruszenia były nader szczupłe, bo zaledwie dochodziły do 27,000. Nadto z liczby téj 9,000 już było oblężonych przez nieprzyjaciela pod Zbarażem, z osiemnastoma zaś tysiącami idącego króla na odsiecz, wzięto także w oblężenie pod Zborowem. Tak więc nad zastępami polskiemi niebezpieczeństwo wisiało prawie na włosku, i trzeba było cudu niemal, aby ocalić wojsko i kraj cały od niesłychanéj zguby. Mimo tego nie tracono nadziei, walka rozpoczęła się z przemożnym wrogiem. Bój zacięty trwał dni dwa, żołnierz polski wydobywał prawie ostatki sił odpierając dnie i noce coraz nowsze tłumy występujące do walki. Trzeciego dnia znużone bitwą i czuwaniem wojsko polskie, nagle ogarnął jakiś dziwny popłoch, któren nie wiedzieć zkąd powstał, kto pierwszy dał do niego powód. Rozważając małe swe siły, a kroci0we zastępy nieprzyjaciół, wojsko przyszło do wniosku, że panowie razem z królem działając w porozumieniu z Chmielnickim umyślnie wyprowadzili acz szczupłą ale niemal całą zbrojną siłę narodu, żeby ją zatracić w boju, i potém cały kraj oddać pod jarzmo rządu skupionego w ręku królewskim.

Wyraz zdrada przebiegał z ust do ust: wszyscy gotowali się do rozproszenia; zawiadomiony o tém król z przedniejszemi dowódzcami przy płonących pochodniach rzucających ponury blask w ciemnicy nocnéj, zaczął obiegać szeregi, namawiając do uległości i posłuszeństwa. Niewiele to jednak wpływało na panicznym strachem opanowane tłumy, i powtórzyłaby się zapewne klęska pod Cecorą, gdyby nie przytomność młodego Jana i gorące słowo wprost idące z serca, któróm do wojska przemówił.

— „Ażaliż wy chrześcijanie jesteście, mówił Jan do spłoszonego wojska, co każdą sprawę zaczynali z Bogiem i kończyli ją z chwałą i pożytkiem dla dobra Rzeczypospolitéj? Czyż to mnie młodemu laty przypominać wypada wam osiwiałym wojownikom, co się należy od nas ojczyźnie i królowi? Jeżeli milsza wam niewola, hańba waszych żon i matek, ruina waszych zagród domowych, uciekajcie małoduszni, a krew i łzy co zaleją kraj cały niech padną na wasze sumienia. Wprzódy jednak drogę ową naznaczycie naszemi trupami, po których depcząc i krwawiąc wasze stopy, opowiecie braciom, że to krew garstki wiernych synów ziemi rodzinnéj, co przenosząc śmierć nad hańbę, broniła jéj do ostatniego tchnienia. Tak robili wielcy nasi przodkowie, tak i my zrobimy jak przystoi szlachcie i obywatelom. Ażaliż wy niemi być przestaliście? Bóg naszym obrońcą, Jemu zaufaliśmy i On nas nie opuści. Do porządku więc panowie bracia, aby na grobach naszych nie wyryto, tu leżą podli tchórze z pod Zborowa."

Wymowa młodego Sobieskiego odniosła pożądany skutek, wojsko z płaczem rzuciło się, do nóg Jana Kazimierza, przysięgając posłuszeństwo i prosząc o przebaczenie. Ponowił się zatém zacięty opór okopanéj garstki, czém zniechęceni tatarzy opuścili kozaków, i Chmielnicki przystał na ugodę, warując sobie całość swobód kozackich, rzekę Horyń, 40,000 kozaków regestrowych, przyjęcie do senatu biskupów nieunitów, obsadzenie urzędów nieunitami, zaprowadzenie szkół tylko nieunieckich, a skasowanie zupełne jezuickich. Umowa ta przyjętą i zawartą została pod Zborowem d. 19 Sierpnia 1649 roku.

(d. c. n.)

KORRESPONDENCJA Z PARYŻA.

Powracający Francuzi z Londynu nie mogą dosyć nauwielbiać się entuzjazmu Anglików dla młodego księcia Walji i jego małżonki, którą przezwali poetycznie: Córą króla mórz. Entuzjazm ten wprawdzie staje się obecnie nie tak hałaśliwym, zamykając się w cichém serdeczném uczuciu, zawsze jednak księztwo wiele ponoszą trudu, w przyjmowaniu tych dowodów miłości ludu,

i w okazywaniu swéj za to wdzięczności. Najciekawszemi są podarunki złożone młodéj księżnéj przez rozmaite miasta, korporacje i stowarzyszenia, które spieniężone utworzyłyby kilkumiljonową fortunę, przewyższającą z pewnością cały majątek ojca księżnéj, księcia Glücksburg. Z podarunków tych urządzono publiczną wystawę, aby każdy oglądając owe bransolety, brosze, kasetki, portbukiety i inne kobiece fraszki i ozdoby, przeciążone złotem i brylantami, mógł poznać bogactwo i szczodrość ludu angielskiego dla swych władców ukoronowanych. Nadto każdemu podarunkowi towarzyszyły adresa, które w zbiorowéj massie utworzyłyby dosyć liczne archiwum, bardzo ciekawa dla mających kiedyś nastąpić pokoleń.

Ale szczodrość swą Anglicy nie w samych okazali tylko podarunkach, szastając złotem i brylantami w darach, z bajecznym prawie zbytkiem przyrządzali uczty i bale dla księztwa, przypominające coś dziwy tysiąca nocy. Bal dany przez *City* londyńską kosztował blisko miljon złotych polskich, opis potraw danych przy stole zajął blisko szpaltę w Timesie, a wykwintność kuchni i dobór produktów był tak wyszukany, że wartość niejednego półmiska, wystarczyłaby na pół roku życia dla jakiéj biednéj rodziny. Bal dany przez oficerów gwardji kosztował blisko pół miljona złotych polskich, a tłok był tak niezmierny, damy tak były bogato poubierane, że po ukończeniu balu, jeden z oficerów nazbierał za przeszło 30,000 franków pagubionych djamentów.

Entuzjazm ten tak szczery, a tak serdeczny i pociągający, młody książę winien szacunkowi, jakim cały naród otoczył zacną jego matkę. Sam bowiem, nie miał jeszcze sposobności zaskarbić sobie miłości ludu, którą nie zdobywa się sztucznemi środkami, ani też samym urokiem majestatu królewskiego. W podobnych wypadkach Anglicy nie są pochopni do szastania sercem i jako praktyczni przede wszystkiem wymagają czynów, ale uwielbiając królowę, wiedzieli że w smutnym wdowim stanie, największą jéj sprawią radość, oznakami przywiązania dla najstarszego syna, i dlatego wystąpili z balami, ucztami i z królewskiemi prawdziwie podarunkami. Cel został osiągnięty, ale i obowiązki księcia Walji względem narodu niezmiernie się powiększyły, bo entuzjazm łatwiéj wywołać, jak go utrzymać.

Paryż nie zabawiając się podobnemi uniesieniami, i wszystkie kwestje tego rodzaju ważący zawsze rozumem, nie sercem, na odpoczynek myśli zajmował się niedawno odkopaliskami Pompei które prowadzone daléj z niezmierną troskliwością coraz większe dla nauki przynoszą zdobycze.

Niedawno odkryto dom piekarza, z bochenkami chleba ustawionemi w piecu, które w części wyjęte ułożone na stole, czekały na rozesłanie po mieście. W inném znowu odkryto naczynia z winem: ale chleb obrócony został w kamień, a wino pomięszane z popiołem przedstawiała twardą jak żelazo massę.

Niedawno znów odkopano dom, który jak pokazuje jego wspaniała powierzchowność, należał do bardzo bogatego właściciela. Sala jadalna urządzona ze szczególną wytwornością, z posadzką pokrytą wspaniałą mozajką, obejmuje w sobie trzy łoża, ustawione około stołu, gdyż czwarta strona według zwyczaju rzymskiego, pozostawała wolną, dla przenoszenia potraw, i odsłonięcia ucztującym widoku na salę, którą przy stołach możnych ludzi zajmowały zwykle tancerki, muzycy i t. p. W pośrodku stołu znaleziono opiekuńczy posąg wyobrażający Bachusa, wspaniały, cały ze srebra, z oczami emaljowanemi, z naszyjnikami i naramiennikami z kosztownych kamieni, a około niego bogatą zastawę z mnóstwem potraw skamieniałych, pomięszanych z popiołem, i przez to nie mogących być w żaden sposób rozpoznanemi co do swoich składowych części. Łoża trzy stół otaczające, były bronzowe, wysadzane ozdobami złotemi i srebrnemi, a na nich znaleziono trzy siedzące kościotrupy, z mnóstwem różnych kosztowności, dowodzące że kiedyś należały do ludzi bardzo bogatych, razem z gospodarzem zajmujących znakomite w społeczności miejsce. Pomimo tego śladów służby nie wykryto nigdzie ani tancerek ani muzykantów, co przekonywa, że katastrofa nie przypadła nagle, że zdumieni niezwyczajnym stanem atmosfery, służbie polecili zbadanie stanu rzeczy, a sami pozostali przy znakomitych frykasach i delikatesach. Co ze służbą się stało i z trefnisiami nie wiadomo, ale panów w okamgnieniu przysypała widać chmara popiołu, skoro nie mieli nawet czasu w ucieczce szukać obrony, i tak jak siedzieli, tak pozostali, aby po przepływie wieków, kościotrupami wyjrzyć na świat, tak lichy i mały w stosunku do ich pysznéj wielkości.

Ponieważ miasto Pompeja było niegdyś niezmiernie handlowe, i operacje różne kupieckie bardzo ją bogaciły, z tego powodu przy kopaniu znajdują wielką ilość monety złotéj i srebrnéj, rozsypanéj w rozmaitych miejscach, i bardzo wiele drogocennych kosztowności. Pomiędzy tém bogactwem, gdzieniegdzie znajduje się kościotrup, ale gdy złoto i drogocenne kamienie z największą

troskliwością rząd włoski zabiera na swą własność, kościotrupy zostawia na własność ogółu, dozwalając rozbieranie ich w najdrobniejszych cząsteczkach. Ogół jednak nie umiejąc oceniać téj szczodrobliwości rządu włoskiego, z pozwolenia tego dotąd nie korzystał, i kościotrupów zostawił w spokojności, nie zabierając z nich nawet jednéj kosteczki.

Tak przechodzi chwała świata! próżność próżności i wszystko próżność, niektórym jednak zdaje się, że są półbogami, i każą ludziom gwałtem kornie przed sobą zginać karki. Biedne robaki!

TRZY GWIAZDKI.

W złotéj kolebce mała dziecina,
Już o czémś marzyć, i śnić zaczyna,
W złotéj kolebce,
Lotny uśmieszek igra po twarzy,
Snać mu aniołek o niebie gwarzy,
Do uszka szepce.

* * *

Trzy lilije białe, wróżki promienne,
Stoją przy dziecku, rusałki senne,
Trzy lilije białe,
I wciąż go pieszczą, bawią z kolei,
Strojąc w równiankę z kwiatków nadziei,
Dzieciątko małe.

* * *

Pod wróżek okiem rośnie pachole,
Tęsknica buja w dziecinném czole,
Pod wrożek okiem,
Perli się rosą łzawa powieka,
A rozbujała myśl się obleka,
Jasnym obłokiem,

* * *

A gdy minęły lata wiosenne,
I chwile marzeń lotne, półsenne,
Gdy przeminęły,
Po raz ostatni wieszczki-dziewice,
Trzy rusałeczki promienno-lice,
Przy nim stanęły.

* * *

Niosąc dziecinie cudowne dary,
Nadprzyrodzone i wieszcze czary,
Niosąc dziecinie.
Które piastując w sercu i dłoni,
Burzliwe fale żywota toni,
W szczęściu przepłynie.

* * *

— „Czy widzisz dziecię tę gwiazdkę jasną,
Przy której wszystkie jéj siostry gasną,
Czy widzisz dziecię?
Daję ją tobie: ta gwiazdka złota,
Niechaj ci złotem w życiu migota,
Na wielkim świecie.

* * *

A tam w oddali gwiazdeczka druga,
Jeszcze ponętniéj do ciebie mruga,
Ot tam w oddali,
To gwiazdka sławy, co na twém czole,
Roznieci wielkość, i aureolę,
Jasną zapali.

* * *

Malutką, biedną, niosę ofiarę,
Gwiazdeczkę smętną, jak dzieje stare,
Malutką biedną,
To gwiazdka czucia, marzeń, przeszłości,
Co bladém światłem lśni śród nicości,
Z trzech wybierz jedną!"

* * *

— „Ja niechcę złota, bo więzy swemi,
Złoto przykuje duch mój do ziemi,
Ja niechcę złota!
Zrzekam się sławy co skroń zapali,
A serce chłodem przejmie, skrysztali,
W drodzę żywota.

* * *

Gwiazdeczkę małą gonię ja wzrokiem,
Widzę ją widzę, tam za obłokiem,
Gwiazdeczkę małą,
Daj mi ją wróżko moja jedyna,
Bo do niéj serce twojego syna,
Drgnęło, zadrżało.

* * *

Nad wiejską strzechą ona przyświéca,
Co nocy błyszczą blade jéj lica,
Nad wiejską strzechą.
Niech ona wiedzie mnie przez bezdroże,
A wtedy w sercu ozwie się może,
Przeszłości echo."

Seweryn Zaleski.

KRONIKA LITERACKA I ARTYSTYCZNA.

Pamiętniki Stevensona z wojny amerykańskiéj,

W poprzednich numerach podaliśmy streszczenie pamiętników p. Ludwika Żychlińskiego z wojny amerykańskiéj, tu dajemy wiadomość o podobnych pamiętnikach wydanych w Londynie. Autorem tego prostego niezmiernie opowiadania, wydanego pod nazwą: Trzynaście miesięcy w wojsku buntowniczém, przypadki ochotnika mimo woli jest Wiljam G. Stevenson z Nowego-Jorku.

Młody ten człowiek, zamiłowany w życiu awanturniczém, chciał się przenieść do Stanu Kantucky, w roku więc 1861, popłynął rzeką Mississipi i zatrzymał się w Arkansas spodziewając się znaleść tam krewnego i szkołę, któréj szukał. Nie znalazłszy obu, połączył się z młodym chłopcem, z Memfis, w celu handlowania klepką wysyłaną do Francji. Oba więc osiedlili się w Arkansas, ale poczciwe chłopaki z miejscową ludnością pogodzić się nie mogli, bo trzeba było z nią pić, jeść, hulać a nadewszystko stać gorąco w obronie niewoli negrów, a oni wszystkiego tego nie umieli. Handel szedł im dosyć dobrze, gdy znudzony samotnością Stevenson, napisał list do rodziny, z następnemi wyrazami.

Życie nie jest łatwém, gdzie mieszkam; musiałem jechać dziesięć mil konno, żeby dostać papieru i atramentu dla napisania tego listu.

We dwadzieścia cztery godzin potém pochwycony w nocy, stawiony został przed komitetem czujności, jako sprzyjający Północy i że jest abolicjonistą to jest niechętnym niewoli. Wszystkie te oskarżenia wydobyto z owego jednego listu, a na dowód wiarogodności ich oświadczono, że pijał tylko wodę z cukrem, że nadto pięknie przemawiał, że wyglądał na delikacika, i że śmiał napisać, iż w Arkansas życie jest ciężkie.

Unikając srogości wyroku, bo już coś przebąkiwano o szubienicy, Stevenson musiał coprędzéj uciekać i udał się ku Helenie, miastu na Mississipi. Pisząc z miasta tego do rodziny, znowu zahacza o nieszczęśliwą niewolą, i wyraża się:

Jak długo trwać u nas będzie ten okrutny terroryzm? Kiedyż wrócimy do poszanowania praw, do szanowania życia ludzkiego? Kiedyż przyjdzie chwila, gdy obywatel amerykański będzie mógł podróżować bezpiecznie we własnym kraju, kiedy będzie mu wolno myśléć i mówić swobodnie o niewoli murzynów? Jeżeli Instytucja ta nie może się pogodzić ze swobodą myśli i słowa nie narażając na niebezpieczeństwo życia właścicieli niewolników, nie jestże to samo już potępieniem tego barbarzyńskiego systemu, którego pojąć nie podobna.

Autor z myślami podobnemi zaledwie przepłynął do Memfis, natychmiast go ajent policyjny zmusił iść z sobą do nowego Komitetu Czujności. Uprzedzono go bowiem w ucieczce, i jeden z sędziów wczorajszych, którym się wymknął szczęśliwie, znajdował się w komitecie z obwinieniem. Zarzuty ponowiono i znowu zaczęto mówić coś o szubienicy, ale wkońcu przerwano wszelkie badania oświadczeniem więźnia, że wstępuje jako ochotnik do wojska południowego. Mimo tego nie puszczono go ani na chwilę, póki się nie zapisał i nie zaciągnął. Pokazuje się z tego, że prawdziwych amatorów wojny, z przyjemnością zarzynających i dających się zarzynać, nawet i południe nie posiada do zbytku.

(d. c. n).

SZARADA.

Pierwsza tak i *druga* wspak, do morza wpadają.
Wszystkie człek *trzecie drugie*, bo też skarby mają.

A. T.

(Znaczenie przeszłéj Szarady:—**Przepowiednia**).



Od niejakiego czasu, taka u nas w modach panuje stagnacja, że aby nie nudzić czytelniczek naszych ciągłém powtarzaniem jednego, poprzestajemy częstokroć na podaniu mód zagranicznych. W tym tygodniu jednak zdarzyło nam się widziéć w magazynie panien Kuhnke, kilka sukien odrobionych z wielką jak zwykle starannością i prawdziwie dobrym gustem, których tu podajemy opis szczegółowy.

Najpiękniejsza ze wszystkich była *Polonezka* popelinową czarna. Jest to rodzaj Gabrjeli kra-

janéj kulisto, nie odcinanéj w pasie. Przód sukni od stanu do dołu przybrany był trzema ruszami z materji strzyżonéj w maszynie. Rusze te składane w pojedyncze kontrafałdy, przeszyte przez środek wązką wstążeczką z białym brzeżkiem rozszerzone znacznie u dołu, tworzyły trzy słupy wzdłuż spódnicy. Przód stanika zapinał się na szmuklerskie guziki czarne z białym. Na ramionach dane były bogate naramienniki szmuklerskie, od których przechodziły przez przód stanika cztery grube sznury czarne z białym; takież dwa sznury zakończone kwastami, spadały na plecy, przewiązane na węzeł. Z tyłu na fałdach szły dwa guziki z kwastami, Rękawy zupełnie obcisłe, miały u ręki nagarnirowaną ruszkę jedwabną, która przechodziła także przez łokieć do ramienia. Na to spadały rozcięte wyloty objęte plisą czarną.

Inna suknia czarna kaszmirowa. wycinana u dołu w okrągłe zęby, objęte taśmą, miała staniczek gładki, spięty na guziki lawowe. Na ramionach szły epolety z pasmanterji. Rękawy nie zbyt szerokie u góry lekko bufowane, przemarszczone były w podłuż u ręki, i przepięte również pasmanterją. Szarfa mantynowa, przewiązana w tyle, dopełniała ozdoby.

Zwrócił także uwagę naszą, ładny szlafroczek puszczany, z czarnego wełnianego batystu. Plecy marszczone, przyciągały się według woli. Przód cały od góry aż do dołu, objęty był czarną mantynową wstążką, szeroką na cztery palce, podwiniętą z jednéj strony, z drugiéj przystębnowaną w maszynie, taż sama wstążka odwrócona u dołu zdobiła spódnicę do koła. Wzdłuż przodu na wstążce dany był rząd szmuklerskich guzików. Rękawy ścięte do łokcia, cokolwiek otwarte u ręki, objęte były wkoło takąż wstążką, odwróconą w kant do łokcia, i na tém odwróceniu, naszyte rzędem guzików. Szarfa jedwabna, związana na węzeł, obciskała stanik w pasie. Na to szedł mały paletocik z kołnierzykiem stojącym, objęty wkoło wstążką; u dołu rozcięty był w trzech miejscach, w których wstążka odwracała się w górę na ćwierć łokcia, naszyta rzędem guzików. Po bokach dane były kieszonki, odznaczone z trzech stron wstążką; dwa boczne słupki naszyte były guzikami.

Z lekkich sukien, uważaliśmy czarną bareżową w białe kółka przeznaczoną dla młodéj panienki. Spódnica gładka, kończyła się u dołu ruszką z czarnego gładkiego bareżu. Staniczek wycięty i marszczony, pokryty był na wierzch ładnym kanzucikiem postyljońskim, ogarnirowanym wkoło czarną ruszką, z pod karoczka spadały końce czarnéj jedwabnéj szarfy. Rękawy szersze u ramienia, zwężone u ręki, miały w górze buffę, podwiązaną czarną wstążką. U ręki zakończała je ruszka.

Inna suknia także dla panienki, czarna żaknotowa w białe kwadraciki, miała u dołu szeroki wolant nadpowietrzny, znacznie rozszerzony na przodzie, Stanik wycięty, marszczony był do paska. Rękawy w górzej tworzyły buffę, nad którą szła jeszcze falbanka, nakształt epoletu; poniżéj buffy, zwężone były zupełnie zakończone u ręki ruszką, przez łokieć zaś przeszyte wązką falbanką. Na wierzch stanika, szła chusteczka *Marie Antoinette*, w nowym zupełnie rodzaju. Długie końce téj chusteczki, nie krzyżowały się wcale na piersiach, ale odwrócone z obu stron pod rękę, i przechodzące do tyłu tworzyły na przodzie jakby kaftaniczek grecki. Chusteczka wkoło ogarnirowana była falbanką, końce również ogarnirowane, przepięte były z tyłu do paska broszką lawową czarną.

Najskromniejsza z tych wszystkich sukien, niemniéj jednak gustowna, z angielskiego płócienka w popielatą i czarną kratkę, miała spódniczkę osobną zakończoną u dołu takąż samą ukośną plisą naszytą z obu stron potrójnie czarnym sutaszem. Spódnica wszyta była w pasek z odwróconym bawetem na przodzie, z tyłu zaś w elastykę. Na to szedł krótki paletocik, przystający prawie do figury spięty na rząd rogowych guzików, objęty wkoło plisą i sutaszem, z podłużnemi kieszonkami na bokach, takież kieszenie oznaczone w tyle, przybrane były odpowiedniemi guzikami.

Nowości Zagraniczne.

Le Moniteur de la mode. Wyroby w kratę szkocką, należą do najmodniejszych. Wiele ukazuje się takich białych z czarném.

W ostatnich czasach pojawiły się suknie ze stanikiem, z czasów Ludwika XV. Stanik ten podobny do baskiny lub długiego kaftana, robi się przystający prawie do figury, i obszywa szerokim wolantem.

Do codziennego ubrania, powszechnie używane, bluzki z alpagi lub fularu, zdobią je w rozmaity sposób, najczęściéj wyszywają plecioneczką.

Kapelusiki okrągłe zostały w téj porze ogólnie przyjęte. Forma zwana *ligueur*, z niską a szeroką główką, z rondkiem cokolwiek opuszczoném z przodu i w tyle, najlepiéj nam się podoba. Zwy-

kle je ubierają pękiem piór czarnych białych i popielatych. Brzeg okładają aksamitem, ruszą z materji strzyżonéj pod spodem ronda, ładnie dopełnia całości.

Opis ryciny.

Figura 1. Suknia czarna *poult de soie,* u dołu dwie falbanki, nad niemi szeroka wstawka z pasmanterji, medaljony u téjże wstawki, ogarnirowane fałdowaną wstążeczką. Nad wstawką idzie odwrócona w górę falbanka. Stanik grecki obszyty falbanką i pasmanterją. Rękawy ścinane do łokcia, ogarnirowane tak samo. Pod spód pikowa biała kamizelka. Do ramienia popielata beduina, z kwastami z wełny angora. Kapelnsz słomkowy popielaty, ubrany i podpięty kwiatami popielatemi.

Figura 2. Suknia fularowa popielata, u dołu dwie falbanki fałdowane. Nad niemi na przednim brycie plisa mantynowa. Na spódnicy oznaczona tunika plisą czarną; z pod plisy wychodzi od spodu falbanka popielata. Od boków idzie druga falbanka i zawraca się wkoło sukni, tak że oprócz przedniego brytu, cała spódnica przybrana czterema falbankami jedna nad drugą. Stanik gładki pod szyję, na nim szeroki pas szwajcarski czarny z szelkami, ogarnirowany w górę falbanką popielatą. Rękawy ścinane do łokcia. nie zbyt wązkie, obszyte wkoło plisą czarną, odwróconą przez łokieć do ramienia; z pod plisy wychodzi falbanka popielata. Kołnierzyczek półbatystowy, z wąziuchną karbowaną falbaneczką. Kapelusz *à la Marie Stuart,* popielaty krepowy, z piórem kapłoniém popielatém, u brzegu ogarnirowany ruszą koronkową czarną. Podpięcie z białéj blondynki, pomięszanéj z białemi gronkami nad czołem.

DONIESIENIA.

Nakładem sztycharni nut **A. Dzwonkowskiego,** ulica Miodowa N. 482, (nowy 4) opuściły niedawno prassę następujące muzykalja.

Deuxieme *Melodie Religienne* paraphrasic pour le piano par R. Monczyński, (op) prise złp. 2 gr. 15.

Spiew na 4 głosy, do marszu żałobnego Stanisława Moniuszki, wykonanego w Warszawie, w czasie Exportacji zwłok *Arcybiskupa Metropolity Warszawskiego,* X. B. *Melchiora Fijałkowskiego,* cena złp. 3.

W Redakcji Tygodnika Mód można nabyć:

—*Książkę do nabożeństwa dla wieśniaków,* ułożoną przez Janka z Bielca, z dwoma rycinami, w oprawie mocnéj ozdobnéj, za złp. 2 gr. 15; kupującym egzemplarzy 10 przesyłka nastąpi kosztem Redakcji.

—*Modlitwę poranną* Janka z Bielca, po zniżonéj cenie egzemplarz za gr. 10.

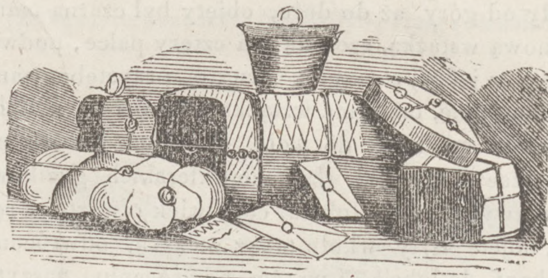
—*Obrazek Matki Boskiéj Częstochowskiéj,* sztuka gr 3.

—*Alfabet duży i mały* do uczenia liter, arkusz gr. 3.

Kupującym za złp. 10 ostatnich trzech wydawnictw, Redakcja takowe kosztem swoim prześle.

PIGUŁKI Z ROŚLIN PANA CAUVIN

Służą do czyszczenia krwi i pomagają do trawienia pokarmów. Wzmacniają kiszki i trzewia, leczą niestrawność, zamulenia żołądkowe nie osłabiając żadnego z organów ciała. Przy użyciu nie wymagają ani dyjety, ani osobnego napoju. Można je nabyć w Redakcji Tygodnika Mód po złp. 4 za pudełko z przepisem użycia ich w pięciu językach.



Od Pani D. S., na kościół P. P. Marjawitek w Częstochowie, odebraliśmy złp. 20, oraz do tegoż kościoła na Statuę Swiętego Józefa od Pana Kajetana Ko. złp. 33 gr. 10.

Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki adresować prosimy: *Do J. K. Gregorowicza, ulica Żabia, Nr. 956 dom Krzemińskiego.*

Do dzisiejszego numeru, dołącza się rycina Paryzka z modami.

w Drukarni K.Kowalewskiego. — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.

DODATEK

Dodatek do Nru 36 Tygodnika Mód.

Warszawa dnia 5 Września 1863 roku.

STARY MOTYL.

WSPOMNIENIE PRZEZ M.......

Dalszy ciąg.

A wam wieśniakom, tak jakoś to trudno i niezręcznie idzie. Całe wasze staranie, z małemi szczególnych affektów wyjątkami, ogranicza się na częstszém od drugich bywaniu, na strzelistych od czasu do czasu spojrzeniach, i rzadkim a zwykle ciężko, brzmiącym frazesie, który niby wyraża wasze uwielbienie. To za mało dla rozumnéj kobiety.

Każda trudność was zraża, nie umiécie się zastosować do usposobień panny, nie staracie się poznać i trafiać w jéj słabostki, bo to wszystko wymaga pracy, zachodów, a nie zawsze opłaci się jeszcze skutkiem pożądanym.

A jakkolwiek dla wszystkich znajdą się nie podobieństwa na świecie, to jednak co do p. Maryi, nie widzę żadnego.

Rozmarzyć exaltowaną pannę to mała bagatela....!!

— Nic łatwiejszego jak mówić, odparł trochę już zniecierpliwiony tym długim monologiem p. Adam.

— Wprawdzie, nie czas już, abym ci czynami dowiódł mego rozumowania, ale postaraj się, abym raz jeszcze widział te panie, a zobaczysz, co za słodkie oczka, p. Marya robić będzie do mnie.

— O widzenie najłatwiéj mój Lucyanie, ale pojąć nie mogę prawdziwie, jakbyś mógł zmienić rolę względem p. Heleny obraną. Przecież, prócz tego, co się dało słyszeć i widzieć, nie wątpisz zapewne, że ona co do słowa powtórzyła swéj kuzynce wszystkie wasze rozmowy i twoje oświadczenia.

— Zapewne, że to trochę trudne, ale od czegoż też miłość własna w kobietach? Od czego zadrość, ta najsilniejsza w nich prawie namiętność.

— Ależ zmiłuj się Lucyanie, tak bliskie krewne!....

— Choćby siostry rodzone, Adaleczku! Umizgaj się do jednéj, druga niby cieszyć się będzie z powodzenia tamtéj, ale w sercu myśli, ręczę ci że powie: jaka szkoda że to nie do mnie! ha! ha! ha!

Wierz mi Adamie, zazdrość w kobiecie, kto z niéj korzystać umie, jest to najpewniejszy środek zyskania wszystkiego.

— Fatalne twoje wyobrażenia Lucyanie o tych, które ile razy sposobność się zdarzy aniołami nazywasz.

Nic już nie odpowiedział p. Girtenfeld na ten tak sprawiedliwy zarzut, tylko zamyślił się głęboko, knując zapewne plany do dzieła, które w istocie zasługiwało na zebranie wszystkich jego myśli.

ROZDZIAŁ X.

Ten sam dziedziniec, te same kasztany, i dwie znajome nam panienki, siedząc z robotą rozmawiają z sobą, tak jak w piérwszym rozdziale wspomnienia mojego.

Pogadanka, skacząc z przedmiotu na przedmiot, stanęła wreszcie, jak to zwykle bywało, na panu Lucyanie.

— I cóż ty myślisz? zobaczemyż go jeszcze? zagadnęła trochę smutno Helenka.

— A! jeszczeby tego brakowało! żeby się z nami nie pożegnał, odpowiedziała ruszywszy ramionami Marya.

— Co ty chcesz moja droga! Już ja wiem teraz, co to za jeden, ten grzeczniś Warszawski. To nic innego tylko stary bałamut, który żyje dla tego, aby jak najwięcéj budzić jednodziennych wrażeń: chytry samolub, bawiący się kobietą, jak kot igra z myszą.

Dopóki, czas spędzany na wsi, wymagał jakiegoś sercowego zajęcia, dopóty dbał o nas, teraz kiedy zapewne ma się ku wyjazdowi, zaręczam ci, więcéj myśli o tych, które ujrzy w Warszawie, jak o nas pozostałych tutaj.

Gdyby nas zobaczył w Stolicy, udałby może ze nie poznaje chwilowych znajomości sezonu letniego! bo to wszystko na takiego podobne.

— Ależ co znowu! przesadzasz Helenko! Któż wie co go tam zajść mogło i dla czego nie przyjeżdża? usprawiedliwiała Marynia. A nuż się zjawi, i ponowi na seryo swe oświadczenia? Żałować będziesz, żeś go tak źle sądziła, zapominasz nawet, że to złe mniemanie postało kiedykolwiek w twéj myśli i słowach!

— Powiedz raczéj, że mu przebaczę niejedną złą chwilę, ale zapomniéć.... o moja droga! ja-nie zapominam.....

Moje marzenia są jak owe kwiaty, z których gdy raz kto zetrze delikatną ich barwę, już taż sama ręka nigdy im kolorów tęczy nie wróci! Z nową tylko wiosną, nowe uroki powrócą!

— A widzisz! więc i ty także bałamutka!

— I przyznaję to głośno, i dziękuję Bogu, że mię tak ukształcił. Bo gdyby nie to, dawnoby przyszło umrzeć, lub oszaleć z rozpaczy!

Dostałam od natury wyobraznią bujną i serce zdolne bardzo żywo odczuwać wszystkie jéj wrażenia. Moje szczęście tylko, że zawody doznawane w życiu, stopniowe szczerby w méj ufności robią. Bo gdy inne, raz odczarowane, na wstępie w życie straciwszy wiarę, darzą ludzi szyderstwem zawiedzionych nadziei, ja jéj nie tracę, wierzę w dobre, wierzę że są szatany, lecz i o aniołach zarówno nie wątpię....

— Helenko! patrz, ktoś jedzie!

Spojrzała ciekawie Helenka na drogę, w istocie na skręcie góry ukazała się bryczka.

— Może to on Helenko! mówiła radośnie Marya.

Uśmiechnęła się lekko Helenka i zwolna odrzekła: Przypatrz się lepiéj, a zobaczysz Idalkę. I obiedwie panienki, pobiegły żwawo witać... nowo-przybyłą.

— Jak się masz Idalko! jak się masz kochana, poczciwa, żeś sobie o nas przypomniała, mówiły sadowiąc ją wśród siebie. Jakże się miewasz, co u ciebie słychać? powiedzże nam powiedz!

— U mnie? cichość i spokój, jak zwykle. Wy lepiéj, powiedzcie co nowego, u was zawsze wesoło, swobodnie, aż miło.....

— U nas? przeciwnie, dziś szczególniéj smutno, mówiła Marya uśmiechając się trochę spojrzawszy znacząco na Helenkę.

— A przecież jest was dwie, to jakbądź lepiéj jak mnie saméj jednéj od rana do wieczora z dziećmi, które czasem i podumać chwilki nie pozwolą.

— A my przeciwnie, nie bardzo rade jesteśmy kiedy zanadto mamy na dumanie chwilek, mówiła Marja, śmiejąc się.

— Kiedy tydzień upłynie a nikt z gości nie zajrzy, dorzuciła wesoło Idalka.

— Gdy wyglądamy kogoś niecierpliwie, a tu się nie zjawia, ciągnęła Marya spojrzawszy znowu na Helenkę.

— Ej! Maryniu, Maryniu, gadulska, téż z ciebie....

— Uderzyć w stół..... znasz Idalko przysłowie.

Już widzę z twéj minki żeś bardzo ciekawa, ale czekaj, nie dowiesz się tak prędko chyba, że od razu nam powiesz, czy i ty tam kogo także nie wyglądasz, a zawsze spokojnisię udajesz.

— O! nie zarzucaj mi tego! bo ja nic i nigdy nie udaję, i owszem, aż nadto szczerą jestem. I na dowód tego, powiem Wam, że w istocie codzień kogoś wyglądam, mówiła rumieniąc się Idalka.

— No! no! no! to cóś nowego! I któż to taki? powiedz Idalko! moja najdroższa! bardzo, bardzo ciekawe jesteśmy, zawołały obiedwie naraz kuzynki.

— O! teraz wy znowu poczekajcie. Kto zaczął niech wprzód opowie, Helence z prawa pierwszeństwo się należy.

— Jeżeli Marynia co wie, niech powie, pozwalam chętnie, ale pod warunkiem, że i ty nam się zwierzysz.

— A dla czegóżby nie? wszak nie mam lepszych od was przyjaciółek. A więc Maryniu! kogóż to tak bardzo Helenka wygląda?

— Ja za nią odpowiadać nie będę, to pewno. Niech się sama przyznaje. Albo nie! bo już widzę że tych ceremoniałów będzie jeszcze z godzinę. Pozwólcie więc że ja na siebie wezmę rolę badacza i obiedwie na raz indagować będę, a tym sposobem i sędzia i obwinione od razu zaspokojone zostaną. Zaczynam od Helenki. Helenko! czy twój oczekiwany bliski lub daleki?

— Bliski na teraz, daleki przedtém, daleki na potém.

— A twój Idalko?

— Mój? zupełnie tak samo.

— Helenko! młodość czy starość, brzydota lub piękność stanowią zalety wyglądanego?

— Niemłody, i niestary. Czy piękny? wątpię, ale że się podoba, o tém wiem dokładnie.

— Teraz Idalka.

— O moim również, toż samo powtórzę.

— A to szczególne! Daléj Helenko! Mądry i wykształcony? mieszczuch czy hreczkosiéj?

— Rozum i edukacya, to jego zalety. Warszawa jego siedzibą.

— E! żartujesz Helenko! zawołała nie przyzwana już nateraz Idalka. Chyba, cóś słyszałaś i chcesz mię intrygować!

— Jak cię kocham, tak dosłowną wówię ci prawdę, odrzekła Helenka.

— Co i sędzia potwierdzi dorzuciła Marya. A teraz delikwentki! ostatnie zapytanie, a odpowiedź razem...... Pytam, o imię jego?

— Lucyan!.... wygłosiły jednocześnie obiedwie panienki, i spojrzawszy po sobie, na długą chwilę zamilkły.

Marya odezwała się pierwsza:

— A więc już teraz nie ma wątpliwości, że obiedwie jednego wyglądacie, bo Helenka również jak Idalka o panu Lucyanie de Girtenfeld mówią. Wszak prawda?

Na potwierdzającą odpowiedź ciągnęła daléj:

— Ztąd trzeba sądzić, że p. Girtenfeld zarówno był na Tylczę jak na Jedłówkę łaskawy. Pytanie tylko, która z was ma większe wyglądania prawo?

A gdy panienki nic na to nie odpowiedały, mówiła Marynia znowu:

— Powiedzże nam Idalko, jak to było z tobą? Bo co Helenka, to mogę ci zapewnić jest tyle szczęśliwą, że ją formalne oświadczenie spotkało!

— Czy to być może? zawołała pobladłszy cokolwiek Idalka! Czy to być może? wszak dwóch na raz kochać nie podobna!

— Ale są ludzie, którzy dwie na raz zapewniać o tém potrafią, wtrąciła z gorzkim uśmiechem Helenka.

— I na cóż to! na cóż mój Boże? mówiła z żalem Idalka.

— Żeby się bawić kosztem oszukiwanych, żeby się chlubić odniesionym tryumfem!

— Aleź on zdaje się być tak poważnym, tak szlachetnym, ktożby go mógł posądzić o tak płoche zamiary?

— I nam się tak wydawał, i ja mu długo wierzyłam, kilkotygodniowa jednak niebytność w Jedłówce przekonała mię, że nie byłam tak jak zapewniał kochaną.

Myślałam jeszcze, że cóś wpłynęło na zmianę jego zamiaru, że ktoś mię przed nim obmówił, zniechęcił go dla mnie. Teraz zaś widzę, że to stary Letkiewicz, szpakowatych skrzydełek motyl, do którego zastosować można to polskie przysłowie: „Czem skorupka napoi się za młodu, tém na starość trąci.”

Ale opowiedz Idalko, jak to było z tobą, a ja ci wzajemnie, szczegółów nawet nie poskąpię.

Nie wzdragała się dłużej Idalka i owszem opowiedziała wszystko, z początku aż do końca nie wyjmując i marzeń swoich i swoich nadziei nie tając nawet przyrzeczeń, jakie mu zrobiła.

Znała charakter słuchających panienek, wiedziała, że młodocianą ufność źle sądzić nie będą, ze współczuciem, za szczerość zapłacą....... Zwierzenie to przerywanem było od czasu do czasu wykrzyknikami Helenki, która zawsze wszystko biorąc żywo do serca, nie mogła się powstrzymać od uniesień zgrozy, na tak nikczemną lekkowyślność starego kawalera.

Kiedy zamilkła opowiadająca, Helenka pospieszyła ze swoją historyą, aby przekonać Idalkę, że i dla niéj p. Lucyan był aż nadto szczodrym w obietnicach.

Spokojnie i z rezygnacyą słuchała niepojętych dla siebie dotąd rzeczy Idalka; a gdy już nic więcéj dołożyć nie było można, nastała znowu chwila milczenia między panienkami.

— Nie, to niepodobna, ozwała się wreszcie Idalka niepodobna, aby on był niegodnym zwodzicielem. Któż wie! może mi się to wszystko tylko przywidziało? Może pragnąc, aby tak było, patrzyłam przez pryzmat własnych ideałów, słuchałam sercem a nie rozsądkiem.

Wszak ze mną nic o ożenieniu nie mówił. Tobie zaś Helenko dawał jasno poznawać swoje w tym względzie zamiary.

Może widząc moje sieroctwo i osamotnienie chciał nieść słowa pociechy .... chciał się stać przyjacielem, opiekunem, doradcą.....

— Nie łudź się droga! nie broń go kosztem poświęceń własnéj miłości. On nie wart tych słów anielskich, płpnących z twéj czystéj duszy, on ani ciebie, ani mnie nie kocha! Pobawił się nami trochę, jak dziecię bańką mydlaną, a wyjechawszy, równie o jednéj jak o drugiéj zapomni, mówiła gorąco Helenka, Ale... ja nie chcę, żeby zapomniał! On musi nas pamiętać, i pamiętać będzie..... I jakby nową myślą natchniona, skoczyła do ogrodu, chodziła długo sama, wreszcie przywoławszy swe towarzyszki, rozpowiadała im cóś długo i szeroko.

Wieczór ich zastał na tych wspólnych naradach, a gdy nareszcie wezwane do pokoju, na próg do-

mu wstąpiły, p. Chodowiecka wręczyła córce list następnéj treści:

Piątek, Sworynia.

Za dni parę tracimy już naszego gościa, obowiązki do powrotu wołają. Radzibyśmy uprzyjemnić mu ostatnie w domu naszym chwile. A że wiemy, czem mu najmilszą można zrobić niespodziankę, więc w imieniu matki i brata przeséłam do łaskawych sąsiadek prośbę o nieodmówienie swéj bytności w niedzielę po południu......

Justyna Mirolaska.

Spojrzawszy na siebie porozumiawczo dziewczęta, klasnęły w ręce z radości, bo ich projekta nadspodziewanie dobry obrót wzięły.

ROZDZIAŁ XI.

Pomimo wyrażenia w liście p. Justyny mianującego bytność sąsiadek niespodzianką dla p. Lucyana, ten ostatni aż nadto dobrze był zawiadomionym o spodziewanych gościach, bo nawet sam objawił życzenie, aby nikt więcéj, na ten dzień pożegnania, zaproszonym nie był.

Pomimo to, jak zwykle w każde święto w sworyniach, i ten i ów przyjechał, a gościnny p. Adam, widząc w przybyłych zwolenników gry w karty, rozłożył stolik i sam z niemi do preferansa zasiadł.

P. Girtenfeld tymczasem chodząc od okna do okna niecierpliwie wyglądał, czy panie z Jedłówki nie jadą, narzekając głośno na spóźnienie wizyty.

Nareszcie zaturkotało silnie w dziedzieńcu. P. Lucyan, jakby wstrząśniony machiną Volty, znalazł się w sieni już wtedy, gdy p. Adam zaledwie z miejsca powstać zdołał.

Powóz właśnie zajeżdżał przed ganek. P. Girtenfeld z fizognomią wyrażającą radość i zdziwienie spieszył, aby piérwszy miéć szczęście powitać przybyłe. Porwał za klamkę, otworzył drzwi szeroko..... spojrzał nagle przed siebie..... i... nagle się cofnął. W powozie, zamiast trzech... ujrzał cztery damy.... panie z Jedłówki Idalkę z sobą zabrały.

Stracił śmiałość stary motyl zupełnie, i przez chwilę nie wiedział, co z swą figurą zrobić. Nigdy mu dotąd przez myśl nie przeszło, aby Helena i Idalia były sobie bardzo dobrze znajome.

W tym momencie p. Adam, wychodził także na spotkanie gości.

— A! a!.... grzecznisiu! i ty jeszcze tutaj?!.... zawołał przebiegając koło p. Lucyana zdziwiony, bo p. Lucyan stał w miejscu jakby skamieniały, i stałby jeszcze Bóg wie, jak długo, gdyby Marynia wyskoczywszy piérwsza z pojazdu nie zagadnęła wesoło:

— Bien bon jour! Monsieur! comment va?...

Zadrżał p. Lucyan, wstrząsnął się cały, jakby ze snu zbudzony, i padłszy na tór jakiéjś zapomnianéj myśli z podwojonym wdziękiem skoczył za zdążająca do salonu Marynią.

Dla dam idących za nią, zdobył się ledwie na obojętny ukłon.

Powitania wzajemne poruszyły wszystkich z miejsc swoich, gdy wreszcie towarzystwo do porządku wróciło, a Marynia, niby niechcący obok p. Lucyana usiadła, zwróciwszy się do niego cała, z uśmiechem i zajęciem mówiła o tém, o owem, aż wreszcie obdarzyła go pytaniem:

— Już podobno opuszczasz pan okolicę naszą?

— Ach! tak niestety! wyjąkał z głębi piersi p. Lucyan, muszę, dodał z przyciskiem, ale nikt pewnie, tyle co ja, nie odczuł nigdy w swem życiu całego despotyzmu, całéj goryczy tego fatalnego wyrazu! O Warszawa! je la déteste! je l'abhorre! wierzaj mi pani!

— Czyż już nie ma sposobu rozdzielenia się z nią na dłużéj? zapytała Marya z współczuciem.

— O! si non Madame! a ja nawet bardzo nad tém myślę. Bo zresztą muszę się wytłómaczyć pani, dla czego dotąd z własnéj woli, przekładałem stolicę nad wiejskie ustronie. Zdawało mi się, że wieś, z całą swą niesmiertelną o zyski dążnością zamiast uzacniać ducha, materyalizuje go owszem. Przeciwnie, miasto, z całym zasobem nauki, sztuki i piękna, wywołując wrażenia, uszlachetnia człowieka. Lecz teraz, odtąd, inaczéj sądzić będę Bom ja dziś pełen wiary, że jeżeli gdzie szukać w pełni ideału, jeżeli kto chce poczuć, cząstkę bóstwa w stworzeniu, jeżeli siłą czucia można się; wznieść po nad poziom, tych cudów, tych czarów, na wsi szukać trzeba....

(d. c. n.)



TYGODNIK MÓD

№ 97.

№ 36.